Cena N-ru 10 Mkp.

ROK 53 KRAKÓW, DNIA 30. STYCZNIA 1921. Nr. 5

DJABEŁ

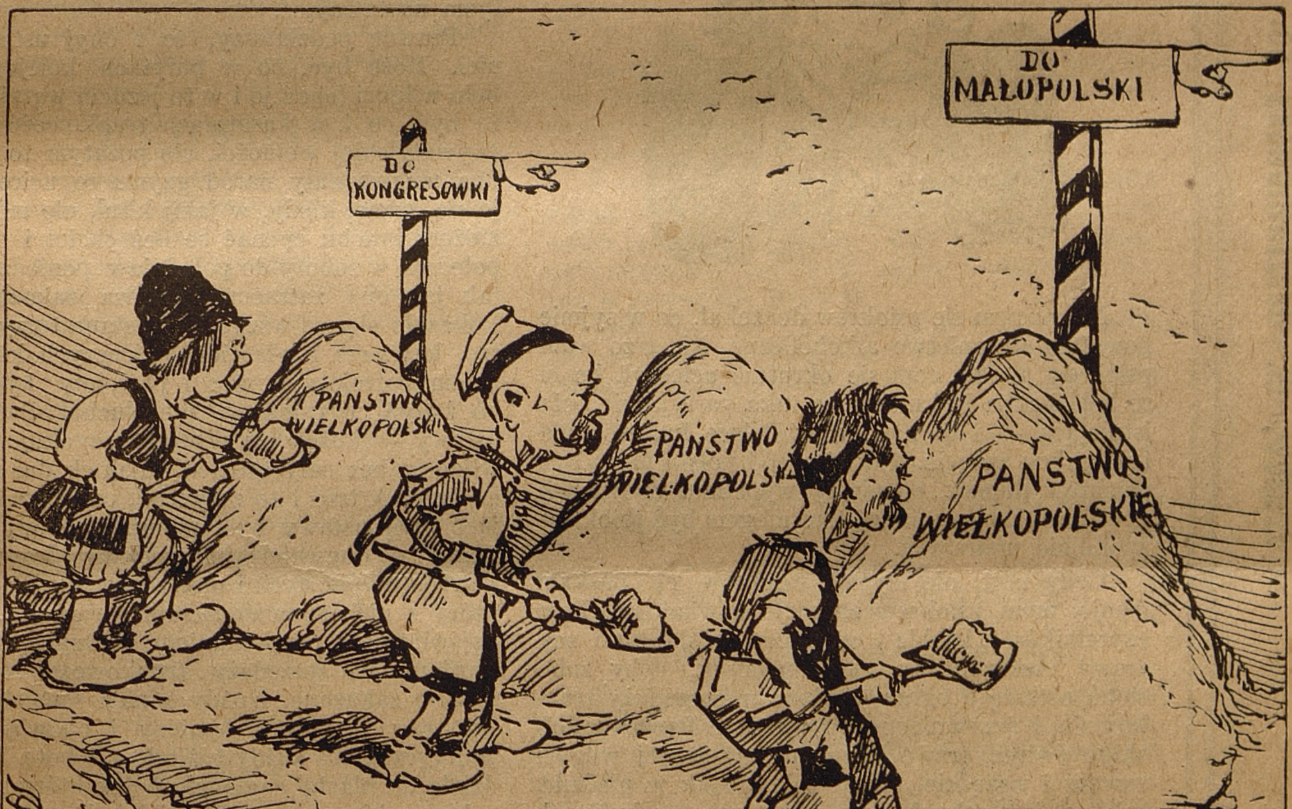
Prenumeratę, listy, artykuły należy nadsyłać pod adresem
WYDAWNICTWO TYGODNIKA „DJABEŁ"
WŁADYSŁAW BORKOWSKI
Kraków, ul. Niecała 4.
Cena egzemplarza 10 Mkp.

PRENUMERATA W KRAKOWIE I NA PROWINCYI WRAZ Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ:
MIESIĘCZNIE 40 MKP.
Cena egzemplarza 10 Mkp.

WYCHODZI CO SOBOTĘ.

TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, ILUSTROWANY.

GÓRĄ JEDNOŚĆ NARODOWA!



Wielkopolska od innych dzielnic się odgradza,
I „obcych" Małopolan grzecznie "wyprowadza".
Cieszy się Bismark w piekle, cieszą jego wnuki,
Że w las nie poszły jego zbawienne nauki.

OD WYDAWNICTWA. Z powodu olbrzymiego podniesienia kosztów druku i papieru podwyższamy prenumeratę i cenę pojedynczego egzemplarzą na 10 Mkp.

Od Wydawnictwa.

Do Szanownych P. T. Prenumeratorów.

Prosimy o odnowienie prenumeraty! Warunki w nagłówku. — Adres wydawnictwa tygodnika »DJABEŁ«:

Władysław Borkowski, Kraków ul. Niecała L. 4.

WICEK SOCJALIK.



Nareszciem sie psiokrew doczekał, co w syjmie powstało stronnictwo alkoholiczne. Nie trzo wam psiokrew godać, com sie okrutnie ucieszył, bo ci to beła hańba lo kultury co taka partyja nie beła istniejąca — i to nie ino w Polsce ludowej, ale i na całym świecie. Tak ci naród polski może być psiokrew dumny, co pirszy wypełniuł obowiązek cewilizacyjny — a ja już tero mogem być psiokrew spokojnie umirający.

Coby nikt nie myśloł psiokrew co puskam ćmoje, mom psiokrew zaszczyt zawiadomić Pete czytelników „Djobła“ co mieszczański klub sejmowy postawiuł w syjmie wniosek, coby zniesiono ustawę o ograniczeniach w sprzedaży trunkowości i przywrócono obywatelom Państwa Polskigo świnte prawo używania wnętrznej wilgoci zawsze i wszędzie, tak w soboty, jak w niedzile, tak na jarmarkach, jak odpustach, w bufytach kolejowych, kasarniach, ecetera, ecetera. Klub mieszczański peda, co tego psiokrew tak hygieniczność, jak patrejotyzm są wymagające.

Lo tych, coby mi psiokrew nie wierzyli, przytaczam jedyn z ustympów wniosku klubowego:

„Zakaz sprzedaży —orvpsają wnioskodawcy— napojów alkoholicznych w bufytach kolejowych okazuje się szkodliwym dla zdrowia podróżujących, szczególne wobec nieopalanych pociągów w dżdżystych i zimnych porach roku.

„Zakaz sprzedaży napojów alkoholowych w bufetach wojskowych wywołuje słuszne niezadowolenie u żołnierzy, którzy przelewają krew za Ojczyznę, nie chcą być przez tę Ojczyznę traktowani jako nieletnie dzieci...“

Nimo wątpienia, co one względy hygieniczne i patrejotyczne przemówiom psiokrew do syrc i rozumów naszych sewerynów [1]). Seweryny dały sie psiokrew wziąć na kawał ministyrstwu zdrowia, szczyńścia i pomyślności — i uchwaluły haniebną ustawę o ograniczeniach. Ale seweryny mioły czas psiokrew zmądrzeć, więc jestem psiokrew przy nadziei, co klub miszczański zwycinży i Polak nie bedzie sie wstydem rumieniejący, co psiokrew wydaje ustawy wolność osobistom krympujące, zdrowiu szkodzące i na szczyry patrejotyzm nastawające.

Prawdę pedziawszy, to z onyj ustawy beły nici. Może być, co w bufytach kolejowych nie beło wilgoci (choć jo i w to jezdem wątpiący), może być, co i w kasarniach trunkowość ni mioła obywatylskiej wolności, ale pozatym to psiokrew oną ustawą cały naród gzyms se uciroł. Pytam je sie, gdzie, kiedy, w jakij kirni, nie mógeś i nie możesz brachu cycnąć se ileś chcioł i chcesz od połednia w soboty do połednia w poniedziałek? — tak jak ona zatracona ustawa zakazowała. — Pokazało się, co wszystkie rystauratorzy, szynkarze, kawiarze i właściciele jenszych kirni, beły i som patrejoty gorące i patrejoty hygieniczne, bo żadyn co psiokrew nie słuchał i nie słucha ustawy — kużdy szynkował i szynkuje psiokrew wilgocią bez cały tydzień, nijakich dni nie wyłączający. A trzo i to przyznać, co urzyndniki, mające onej ustawy być pilnujące, kieruwały sie psiokrew obywatelskim psiokrew zrozumieniem potrzeb narodowych i nikt nigdy nie widzioł, coby który z nich sprzeniewierzył się swoim psiokrew najświntszym przekonaniom i przychycił jakigo kirniarza na sprzedaży trunkowości w dni bez ustawę zakazane. Kużdy z nich sam sie trzymał psiokrew przepisów hygieny i obowiązków patrejotycznych i kużdy tyż tak w sobotę, jak w niedzielę do blachy zaglądał. A jak który mioł boja, coby go kirzącego u Siapsi lub jeszcze Kućmierczyka kto nie widzioł, to kazował sobie flachy przysyłać do domu. A kirniarze beły tak ślachetne, co jeim rachonku przy flachach nie do-

dawały, jako co chcieli uczcić urzyndników. które psiokrew umiejom być w kupie dobrymi urzędnikami i dobrymi obywatelami kraju.

I jo tyż chce psiokrew uczcić klub miszczański jako ślachetnygo założyciela partji alkoholicznyj. Lotygo nagrypsałem do nigo adrys, dziękujący za zrozumienie potrzeb narodowych. Adrys jezd psiokrew wyłożony do podpisania ode godziny 12 w połednie do 12 w nocy w „Stowarzyszyniu pracowników blachy", mieszczącem się w lokalu Siapsi. Oprócz kumitetu (jo, Ferdek i Mańka) pirsze go podpisały: Federowicz, Gralewski, Bizanc, Noworolski, Wyncel, Kućmierczyk, Niedziałek, Siapsia, Imerglik, Jawornicki, Król (dyrektur Kosza i Bagatyli), Suski, Rose, Miedniak, Major, Hajta, Michalik, Rosenstock, Barberowski, Szarski, Tilles, Welndling, Süsser i jensze najznakomitsze, a w trunkowości pracujące obywatyle. Adrys bedzie psiokrew przesłany do Warsiawy na rynce posła Wójcika, który jezd sympatykiem i członkiem honorowym naszygo Stowarzyszynia.

CZYTELNICY.

„Pan dziedzic" i konserwa „Czas" z uwagą czyta:
Dla endeka organem jest „Rzeczpospolita";
Ksiądz z dewotką ziewają nad „Głosem Narodu";
Pepees czytelnikiem jest tylko „Naprzodu";
W pośród chłopów-paskarzy są na „Gońca" kupcy,
A „Kurjerem" się cieszą kokoty i głupcy.

Z CHWILI.

Czwarty datek z rzędu na „cegłę jednodniowej restauracji Wawelu" złożył dr. Rudolf Beres.

Dotychczas ofiarodawcami są: dwaj Amerykanie, jeden żyd i jedna obywatelka.

A gdzież są „obywatele z krwi i kości"?

A gdzie są obywatele-paskarze i inni wojenni złodzieje?

W Warszawie wybuchł pierwszy strajk pożyteczny i gorąco też przez ludność stolicy powitany.

Jest to strajk... szoferów.

Publiczność warszawska gotowa jest do urządzenia składek na podtrzymanie tego strajku. Przynajmniej przez jakiś czas odetchnie, nie będzie wąchała smrodu i uniknie nagłej a niespodziewanej śmierci.

Czy takiego strajku nie dałoby się wywołać w Krakowie?

ORDERY.

Nasza ludowa republika
Demokratyczne ma maniery:
W zgodzie z swym duchem i postępem
Kreuje nowa dwa ordery.

„Bene mrenti", „Orzeł biały" —
Spoczną na piersiach za zasługi
I orderowych „kawalerów"
Będzie mieć Polska poczet długi.

W imię równości proponujem
Trzymać się dawnych czasów wzoru,
A więc przywrócić ekscelencje,
Wskrzesić do życia radców dworu.

Wreszcie, by naszym przekonaniom
Demokratycznym dać świadectwo,
Należałoby zasłużonym
Nadawać herby i szlachectwo.

I jeszcze jeden projekt wnosim
Do sejmujących naszych stanów:
Prezydentowi republiki
Dajcie choć ze stu szambelanów.

WOJNA KOBIECA.

Krakowska płeć piękna podzieliła się na Flachówki i Skoczylasówki. Część ich pragnęła wiedzieć, jaką powinna być kobieta według przepisów p. Flacha — druga część oczekiwała recepty p. Skoczylasa.

Walka o to, kto i jak ma tworzyć przyszłą kobietę polską, rozegrała się na terenie „Domu artystów".

W domu tym chciał budować kobietę zarówno p. Flach, jak i p. Skoczylas. Zwolenniczki jednego nie chciały drugiego dopuścić do wykładu. Albo Flach, albo Skoczylas.

Zwyciężyły Flachówki.

I słusznie — pan Flach ma ustalone kwalifikacje, jest specjalistą. Obrabiał kobietę na rozmaite sposoby. Ostatnimi czasy aktorkom i sławnym metresom poświęcił szereg wykładów. Kto mu w znawstwie dorówna?

Może być, że i p. Skoczylas odbywał studja na tem polu, ale to nie jest jeszcze stwierdzone. Należy więc go uważać za dyletanta, wobec męża nauki, jakim jest p. Flach. Ale Skoczylasówki nie dają za wygranę. Podobno na innym terenie szukają miejsca dla swego ulubieńca.

Na razie Flachus Triumphans garnie mareczki za kobieteczki.

URLOP TROCKIEGO.

(Z humoru polsko-amerykańskiego).

Któregoś dnia Lejba Trocki wrócił najniespodziewaniej do swej wspaniałej willi pod Moskwą.

— Jak sobie macie bachurki, jak masz sobie Sure? — ściskał się ze swą rodziną.

— Tate, co to ma znaczyć, żeś ty przyjechał?

— Jakto, co to ma znaczyć, to znaczy, że ja poczebowałem sobie przyjechacz na szabas do domu.

— Na szabas, tate? A wojne? A twoje pyskowanie?

— Jakie wojne? A od pyskowania to mnie już język spuchł. Wi miszlicie, że Rosja ma jeszcze czem płacić? Złoto i kosztowności, to ten głupi Krasin wywiózł do Anglji, a teraz, to jak oni złoto wzięli i un już więcej nie miał nic, to dostał obcasem w trefne miejsce tak silnie, że aż się zatrzymał na Kremlu.

— Nu, a nie można ukopać na Uralu?

— Oj, nie mów takie głupstwo! Kto ukopie, kto?

— Bolszewiki — odparł naiwnie Srulek.

— Co ty wiesz, kto jest bolszewiki. To same leniuchy, same gałgany. One przyzwyczaiły się nic nie robić i krzyczeć tylko, żeby ja im dał jeszcz.

— Co ty jesteś mamka? — oburzyła się Sura.

— Ja też im powiedziałem, że teraz to ja biorę urlop od nich. Ja sobie tymczasem poszukam drugie posadę.

— Nu, a gdzie tych chcesz znaleźć drugie posade, tate?

— Najlepiej, to jaby wolałbym w Polskie. Mnie tam nie chcieli puścić z moje bosiackie armie, ale teraz, jak ja powiem, co ja jestem tylko kupiec-hurtownik, to mnie delegacja paskarska przywita na dworzec centralny.

— Jak ty tam pojedziesz, Lejbuś? — a wojne?

— Jakie wojne? ja tobie opowiedziałem, że mi zrobili z Polskie a peremirie. Teraz mi sze nie będą bicz, ale mi teraz to mogą bicz tylko kupcy. Jak Polska wszystko do nas sprzeda, to znowu można do niej strzelnąć i znów jej te pieniądze odebrać z procentem. Wi sze wszystkie potrzebujecze wybieracz do Polskie.

Zapanował wielki rwetes i harmider. Sure i wszystkie Srulki pakowały się pospiesznie, aby na czas zdążyć na „pokojowy podbój“ Polski.

Cała hałastra już była wybrana, bebechy spakowane i wszyscy wyszli na ganek.

— Lejbuś — zagadnęła Trockiego małżonka— a ty masz z czem jechacz?

— Oj, gewałt, Sure! Ja całkiem o tego nie miszlałem!

— Co masz milszlecz, niech pomiszli twój szofer.

— Ty nic nie wiesz. Mój szofer pojechał dowiedziecz się do gen. Wrangla, on tam ma kuzyna.

— No, to można jechacz z pociągiem?...

— Z pociągiem, to też nie można, bo ostatni kawałek węgiel, ukradziony w Polsce, to złożony został do wojennego muzeum, jako wielkie rzadkoszcze bolszewickiej wyprawy.

— No, a z konikiem?— uśmiechnął się Srulek.

— Oj, Srulek, a kto zjadł dzisiaj ostatni kawałek konine z łokszyną?

— Tate, ja już wim! — klasnął w dłonie Srulek. — Można jechacz z arenoplajte! Nasze radio tak często pisało, że one latały nad Warszawe, to za co my nie mogiemy spróbowacz.

— Halte pisk! — szarpnęła się Sura. — Co ty masz takie głupie myszli? Ja jeszcze mogie z te aeroplany zlecieć i będzie wtedy a grojse bombe z trujący gaz i to może stacz sze nowy powod do wojne.

— Ty Sure, nie masz co sobie bojecz z arenoplajte, ty nie poczebujesz zleczecz, bo arenoplajte mi też nie mamy.

— Jak to nie macie? — zaperzył się Srulek — a co to stoi tam w nasze radio?

— W nasze radio to stoi wszystko to, co u nas niema.

— Aj waj! to my nie możemy jechacz do Polskie?

— Ty jesteś całkiem jeszcze głupi Srulek. Ty nie jesteś a diplomat. My możemy sobie u siebie w wile siedzicz i tyż jechacz. Przynieś Sure trzy szklaneczki z wode. To my włożymy tam nogi, nu... i my będziemy pływać morzem do Polskie.

— Aj, Lejbuś, ja sze boję! — ociągała się Sura. — Można dostać morskie chorobe.

— Ta-aaate! — beknął naraz Srulek i gila wypuścił z nosa — w te wode, to sze mogą umicz nogi. Na co mnie to — to żaden interes.

NA POLOWANIU.

— Co mi pan mówił, że tu tak dużo zwierzyny, a tu na trzecim już stoimy stanowisku i nic nie widać...

— Cierpliwości — zobaczysz pan sam za dwie godzinki — widziałem na własne oczy w kuchni zające i sarny — tylko cicho, niedługo nas na obiad zaproszą.

MONOLOG SCHMAJGEŁESA.

Bardzo smutno jest w Krakowie —
Ja ze stracha mam trzęsienia,
Bo dzikie rozbójnikowie
Biorą się do uśmiercenia!
Na najludniejszej ulicy —
Ja mam strach od głów do pięty —
Mordują nas rozbójnicy —
Zarzynają jak kurczęty!
Codziennie tylko słyszymy,
Co gdzie komu ukradziono —
Już sze nawet nie dziwymy,
Że znów kogoś uśmiercono.
Gdy tak dalej horda dzika
Będzie działać rozbójnicza,
To una nawet z pomnika
Skradnie pana Mickiewicza!
Nawet rondel, co w Krakowie
Jest przedmiotem troskliwości,
Ukraść mogą złoczyńcowie —
Wawel i inne piękności!
Ze złego straszną nawałą
Może nawet nadejść pora,
Że policję skradną całą,
A z nią pana dyrektora!
Będziem płakać i narzekać,

Kląć na losy zatracone —
Pies Aida będzie szczekać,
Lecz przepadnie, co skradzone!
To wojne spowodowała,
Że ludzie bardzo zdziczeli,
Że ludziów moralność cała
Przepadła, djabli ją wzięli!
Jeżeli złe nie ustanie,
Co nas gnębi, co nas dusi,
Polska otrzyma nazwanie
Kraju łotrów i rabusi!

DWADZIEŚCIA PIĘĆ KOTÓW.

Zachorowałem. Leczyć się jest niemożliwością, bo lekarze i lekarstwa kosztują sumy bajońskie. Najlepiej by było umrzeć, bo obecne stosunki drożyźniane do tego bardzo zachęcają. Pogrzeb jednak kosztuje bardzo dużo, a nie chcę, mych spadkobierców na takie znaczne koszta narażać, bo by mi tego do śmierci nie zapomnieli. Nawet, gdyby mnie pochowano w trumnie papierzanej, gdy arkusz papieru kancelaryjnego kosztuje trzy marki i gdyby mnie tylko jednym koniem zawieziono na cmentarz, wszystko to kosztowałoby bardzo dużo. Wprawdzie w spadku po mnie zostanie jedna para spodni raz tylko nicowanych, wartości pięć tysięcy marek, to jednak nie chciałbym, aby uzyskana ze sprzedaży tych spodni kwota na koszt mego pogrzebu została obróconą. Pragnę bowiem, aby po mojej śmierci spadkobiercy mieli czem łzy obetrzeć i na ten cel wyłącznie moje raz nicowane spodnie przeznaczam. Rozważywszy to wszystko, przyszedłem do przekonania, że najlepiej by było utopić się we Wiśle i to tak gruntownie, aby zwłok moich nie odnaleziono i służyły rybom za pożywienie, które potem kilo za trzysta marek można by sprzedawać. Gdybym się jednak utopił i zwłok nie odnaleziono, to w tym wypadku poniósłby skutkiem mojej śmierci jedynie mały wydatek redaktor dziennika, którego jestem współpracownikiem. Musiałby nie ze względu na zbawienie mej duszy, na które jak mi to kilkakrotnie oznajmił, gwiżdże, ale ze względu na opinję publiczną urządzić za moją duszę nabożeństwo żałobne. Dużoby to nie kosztowało, bo nabożeństwo byłoby pewnie bez katafalka i innej parady. Ale nie chcę i szanownemu redaktorowi powodować mą śmiercią wydatki i wybierać pomiędzy śmiercią naturalną a samobójstwem. Postanowiłem obrać drogę pośrednią, to jest ożenić się. Żona, posiadająca posag, będzie mieć fundusze, aby mnie leczyć, a w razie mej śmierci sprawi mi przyzwoity pogrzeb. Co do spodni, mam prawie pewność, że w razie mej śmierci do nich żadnych praw rościć sobie nie będzie i pozostawi je moim testamentowym spadkobiercom. Postanowiwszy zatem ożenić się, udałem się do stręczycielki małżeństw, która miała na składzie moc towaru małżeńskiego. Nie jest to dziwnem, bo wobec tego, że teraz w Europie kobiet jest od mężczyzn więcej o kilkanaście miljonów, wyjście za mąż przedstawia bardzo wielkie trudności.

Ze składu wybrałem sobie pannę, którą przy bardzo silnej immaginacji i pobłażliwości można było ocenić na lat czterdzieści. Posiadała posag i była bardzo dobrze zakonserwowaną. W salonie stręczycielki małżeństw porozumienie przyszło szybko do skutku i ślub się odbył. Sprowadziłem się do mieszkania mej żony, ale pierwsza noc poślubna była fatalną. Żona moja, o czem przed ślubem nie wiedziałem, posiadała 25, mówię dwadzieścia pięć kotów, które w czasie jej nieco długiego panieństwa, były jej największą pociechą. Wieczór wszystkie koty zgromadziły się około jej łóżka i na krok odstąpić nie chciały. Gdy się ku łóżku zbliżałem, wpadały w wściekłość, ze złości kwiczały i miauczały. Szczególnie jeden stary koczur z zielonemi ślepiami ze złości wyszczerzał zęby i czynił przygotowania, aby się na mnie rzucić i złapać mnie pod gardło. Nie chcąc narażać się na zagryzienie lub skaleczenie, noc przepędziłem w ubraniu na fotelu.

Na drugi dzień wystosowałem do żony ultimatum: Ja albo koty? Koty zwyciężyły na całej linji i przyszedłem do przekonania, że jako małżonek dwudziestu pięciu kotów zastąpić nie mogę.

Dzięki pomocy kilku adwokatów, sąd unieważnił małżeństwo i moja żona znów jest panną i przyjętą została do składu stręczycielki małżeństw, a ja kawalerem.

Z powodu tej przykrej afery o jedno mi tylko się rozchodzi: pieniądze uzyskane ze sprzedaży moich raz nicowanych spodni zabrali tytułem honorarjum adwokaci, i moi spadkobiercy w razie mej śmierci nie będą mieli czem łez obcierać. — Co teraz począć, nie wiem. Może mi kto poradzi?

ODA DO BUŁKI.

O, bułko, bułko, bułko ukochana!
Dla ciebie dzisiaj wygłaszam te pienia!
Byłaś przezemnie zawsze uwielbiana!
Byłaś przedmiotem mojego pragnienia!
Do pospolitej uczęszczając szkoły,
Gdyś biała bułko w moich rękach była,
Łatwiej zwalczałem nauki mozoły,
Zwłaszcza, gdy matka masłem cię okryła.
O, piękna bułko, śnieżystej białości,
Gdy nauczyciel nie był dostrzedz wstanie,
Kolega za cię bez żadnej trudności
Dawał odpisać zawiłe zadanie.
Gimnazjalne łatwo szły nauki
I na wszechnicy trudności nie były,
Kiedy kiełbasy, salcesonu sztuki
Z tobą w żołądku moim zagościły!
Później, gdy losy dały mi dochody,
Zajęcie, urząd i różne honory —
Byłem wesoły, swobodny i młody,
Zjadając z tobą łososie, kawiory!

W późniejszym wieku tobą nie gardziłem —
Przy winie byłaś towarzyszką wierną,
A byłaś tanią, bo wówczas płaciłem
Za ciebie kwotę ogromnie mizerną.
A gdy w kanapki zjawiłaś się szacie
I majonesu zajaśniały wdzięki,
Okiem chciwości spoglądałem na cię,
Chętniem zabierał cię do mojej ręki!
Dzisiaj przepadło już twoje istnienie!
Znikłaś ze świata ty bułeczko mała!
Po tobie tylko zostało wspomnienie —
Po tobie tylko legenda została!
Dziś już po tobie znikły nawet ślady,
A samozwańcze bułeczki się rodzą,
Co mają liczne, tobie obce wady,
Czarne i kwaśne — żołądkowi szkodzą!
Dziś nawet nie ma tej błogiej nadziei,
Że się znów zjawisz, bułeczko kochana,
Bo dziś na świecie wszystko się nie klei,
Bo ty na zawsze jesteś pogrzebana.
Bo białą mąkę do twego stworzenia
Kmiotek jedynie w pasku nam sprzedaje —
Smutne w piekarni dnie twego istnienia —
Bo piekarz gipsu do mąki dodaje!
Bo dziś wyzysku stałaś się przedmiotem
Licznych przekupek i chciwych piekarzy,
Bo chcą, by za cię my płacili złotem,
Bo chcą z nas zrobić wychudłych nędzarzy!
Bardzo nas boli, że ciebie nie mamy:
O koalicjo! uczyń, gdy masz siły,
Bo na kolanach o to cię błagamy,
By się bułeczki białe znów wróciły!

XXXV. LIST KACPRA KRUPY
WSPÓŁPRACOWNIKA "DJABŁA" z RYGI.

Ryga, w styczniu 1921 r.

Wielebna Redakcjo!

Od Arystyda Brianda otrzymałem list treści następującej:

Najukochańszy Krupo! Już mój kolega prezydent zaprosił Cię do Paryża. Ja przyłączam się do jego prośby i usilnie proszę, abyś do Paryża przyjechał. Jesteś najlepszym politykiem i dyplomatą polskim i będziemy mogli wiele spraw załatwić. Mam też do Ciebie drugą prośbę: Otóż Francuzi, a szczególnie Paryżanie mają albo mylne, albo bardzo niedokładne pojęcie o bolszewikach i byłbym bardzo rad, aby ich dokładnie poznali. Proszę Cię zatem, abyś jednego bolszewika przywiózł do Paryża. Wiem, że to łatwem nie będzie, ale jeżeli na mój koszt każesz zrobić żelazną klatkę i w tej klatce go przywieziesz, to może wszystko bardzo dobrze wypaść. Będziemy mogli na tem zrobić także bardzo dobry interes, bo klatkę z bolszewikiem umieścimy w ogrodzie zoologicznym, albo w cyrku i za wstępem będziemy go mogli pokazywać. Na takie widowiska Francuzi są bardzo ciekawi, czego dowodem, że gdy przed laty sprowadziliśmy kilku ludożerców, pomimo, że cena wstępu była bardzo wysoka, bezustannie przychodzili ich oglądać. Mając nadzieję, że razem z bolszewikiem wkrótce przyjedziesz, całuję Cię serdecznie

Twój kochający Cię

Arystydes.

Do Paryża pojadę. Czy jednak będę mógł przywieźć jakiego bolszewika, tego jeszcze nie wiem. Klatkę kazałem już zrobić, ale bolszewika jeszcze nie mam. Do Joffego, z którym żyję w przyjaźni, o dostarczenie mi jakiego bolszewika udać się nie mogę, boby się obraził. Zdaje mi się, że najlepiej będzie, jeżli jakiego celniejszego bolszewika upiję do bezprzytomności i zawiozę w klatce do Paryża. — W jaki sposób udało mi się sprawę załatwić, tudzież o moim wyjeździe i pobycie w Paryżu, doniosę.

W Rydze nic nowego.

Sługa

Kacper Krupa

Kawaler krakowskiej marki ewakuacyjnej Nr. 18907

INDYK.

Od czasu wojny światowej nie udało mi się spotkać z indykiem upieczonym na półmisku. Widziałem tylko indyki chodzące po podworcu lub w oknach wystaw sklepowych. Dowodzić tego nie potrzebuję, bo jest rzeczą powszechnie wiadomą, że obecnie indyk kosztuje tyle, co dawniej krowa lub wół, a na takie wydatki moje fundusze nie pozwalają. A jednak gdyby nie moje niewłaściwe życzenie, byłbym mógł zjeść kawałek, a może nawet całego indyka. Sprawa miała się tak: Przed niedawnym czasem śniło mi się, że redaktor dziennika, którego jestem współpracownikiem, przyszedł do mnie i wręczając mi bilet wolnej jazdy koleją żelazną z Krakowa do Rzymu, oświadczył mi, że o ten bilet wystarała się dla mnie redakcja, aby w ten sposób nagrodzić zasługi wobec dziennika przezemnie położone, wiedząc, że taka jazda do Rzymu bardzo mnie ucieszy i do dalszej intenzywnej pracy zachęci. Dziękowałem redaktorowi za bilet i słowa uznania, ale zarazem oświadczyłem, że trudno mi będzie z tego biletu skorzystać, bo podróż do Rzymu połączona jest z wydatkami, na opędzenie których pieniędzy nie mam. Gdy jednak redaktor mi oznajmił, że jak skoro przybędę do Rzymu i zgłoszę się w Watykanie, to jako dla dobrego katolika, o wszystko się dla mnie postarają i żadnych wydatków ponosić nie będę, postanowiłem wyjechać.

Udałem się w Krakowie na dworzec kolei żelaznej, gdzie ponieważ wszystkie wejścia do wagonów zapchane były podróżnymi, konduktor po wręczeniu mu trzech cygarillosów, przez okno wagonu wtłoczył mnie do jego wnętrza. W wagonie siedziało kilkunastu żydów, grających w szmende.

Gdyśmy z dworca wyjechali, po wagonie rozeszła się silna woń czosnku i cebuli, pochodzą-

cych prawdopodobnie od dymu lokomotywy.

W jaki sposób przybyłem do Rzymu, zupełnie mi wyleciało z pamięci i podać nie jestem w możności. Wiem tylko tyle, że w Rzymie znalazłem się w Watykanie w sali audjencjonalnej wraz z innymi, że postać Ojca św. bardzo mi imponowała i że cała ceremonja zrobiła na mnie silne, imponujące wrażenie. Po audjencji, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, Ojciec św. kiwnął na mnie palcem i kazał iść za sobą. Gdy znalazłem się w wspaniałym salonie, wypytywał mnie Ojciec św. o stosunki w Krakowie, dla którego jest bardzo przychylnie usposobiony, bo wyraził się, że Krakowianie są bardzo dobrymi katolikami, a Kraków posiada moc kościołów i klasztorów. Przy końcu rozmowy zapytał mnie, czy nie jestem głodny?

Odpowiedziałem, że od chwili wyjazdu z Krakowa nic nie jadłem i że rzeczywiście głód mi dokucza.

— W takim razie — rzekł Ojciec św. — mogę twój głód zaspokoić. Mam właśnie upieczonego indyka. Czy chcesz go jeść na ciepło, czy na zimno?

— Jeżeli łaska, to proszę na ciepło z francuską sałatą.

— Dobrze. Zaczekaj.

To rzekłszy Ojciec św. wyszedł, a ja w salonie zostałem. Czekałem cierpliwie, bo takie przygrzanie indyka wymaga czasu, a przyrządzenie sałaty francuskiej także dłużej trwać musi. Minęła jednak jedna i druga godzina, ale jakoś Ojciec św. się nie zjawiał i już zacząłem się niecierpliwić. Nareszcie usłyszałem kroki, a nawet dolatywała mnie woń pieczonego indyka. Wtem bez żadnego racjonalnego powodu zbudziłem się i znalazłem się na mojem łóżku. Byłem naturalnie okropnie zirytowany, bo o indyku już mowy być nie mogło. Próbowałem zasnąć, ale wszelkie moje usiłowania w tym kierunku były nadaremne. Obecnie robię sobie wciąż wyrzuty, że z powodu mojego niewłaściwego żądania jeść indyka na gorąco, przyjemności zjedzenia indyka zostałem pozbawiony, bo gdybym go chciał był zjeść na zimno, byłbym go zaraz otrzymał. Stało się, niestety, źle, co dla mnie jest ciągłem udręczeniem.

Z TYGODNIA.

(Luźne kartki. — Feljeton składany).

I. Prezent dla Francji.

Matejko bezwątpienia był wielkim malarzem.

Niestety, sława jego, poza granicami Polski, nie odpowiada jego wielkości.

Zaledwie jeden na tysiąc inteligentnych Francuzów czy Anglików zna jego nazwisko, ale i pomiędzy tymi „znawcami" panuje niepewność, czy to był malarz polski, rosyjski, czeski czy rumuński.

Jest to smutne, ale prawdziwe.

Przyczyną tego naprzód, że obrazy Matejki przelotnie tylko ukazywały się zagranicą, poczem powracały do Polski — a że już ćwierć wieku upływa od śmierci mistrza, więc młode pokolenie Zachodu nigdy nawet dzieł jego nie widziało.

Wprawdzie w Watykanie wisi jego Sobieski, ale tylko Polak i to z trudem odszukać go może...

Drugą przyczyną małej, a właściwie żadnej popularności Matejki za granicą jest to, że był to malarz historyczny polski, biorący tematy z dziejów narodowych. Europa, niestety, dziejów tych nie zna, więc nie interesują jej obrazy, których treści zrozumieć nie może.

Tematy dla nas drogie, wzruszające, budzące ducha, mówiące o wielkich faktach naszej historji, o naszej potędze i sławie — dla zagranicy były i są całkiem obojętne.

Dlatego też Matejko pragnąc „zdobyć" zagranicę, wymalował Joannę d'Arc — temat całemu światu znany, dla wszystkich zrozumiały.

Ale i to nie pomogło. Matejko nie zastosował się ani do „ducha", ani do „smaku" francuskiego. Został samym sobą. Olbrzymie jego płótno, potężne na niem postacie, wydały się Francuzom czemś „barbarzyńskiem", średniowiecznem...

Matejko miał zamiar Joannę ofiarować Francji, jak Sobieskiego Watykanowi, — ale zamiar ten spełzł na niczem, bo obraz się nie podobał.

Obecnie w Warszawie zrodziła się myśl nabycia Joanny od hr. Raczyńskiego, który ją kupił po 300 guldenów za metr kwadratowy i złożenia jej w darze Francji jako dowód wdzięczności za jej udział w odbudowaniu i obronie Polski.

Obraz, który się przedtem Francji nie podobał, ma się jej teraz podobać i być dla niej cennym darem.

Rozczulająca naiwność!

Naiwność i w tem, że chcemy Francję brać na sentymenty.

Francja popierała i popiera nas dla dobra własnego. Czy będzie dalej popierać, jeszcze zobaczymy — ale choćby nie zeszła z tej drogi, to nigdy nią nie kierowała jakaś sympatja dla naszego narodu.

Był czas, gdy związek z Rosją kazał jej być naszym wrogiem — przyszedł czas, kiedy jest naszym przyjacielem, bo widzi w Polsce naturalnego sojusznika przeciw Niemcom.

Oto i wszystko.

Jeżeli chcecie ją obdarować tak, aby za dar złożyła gorącą podziękę, to ofiarujcie jej... Zagłębie Dąbrowskie lub Borysław. Taki dar przyjmie entuzjastycznie.

Ale obraz Matejki?!

Oj dzieci, dzieci — kiedy wy do rozumu przyjdziecie?

Kiedy wam pierzchną z głowy zabawki, sentymenty — kiedy rzucicie cacka, aby w twardej szkole życia nabyć podstaw do prowadzenia realnej polityki?

!! SUBSKRYBUJCIE POLSKĄ POŻYCZKĘ !!

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Władysław Borkowski. Zakłady Graficzne E. i Dr. K. Koziańskich w Krakowie.